

Autorka serii SIEDEM SIÓSTR

LUCINDA RILEY
TAJEMNICE
FLEAT HOUSE

ALBATROS

Tytuł oryginału:
THE MURDERS AT FLEAT HOUSE

Copyright © Lucinda Riley Ltd. 2022
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2022

Polish translation copyright © Małgorzata Stefaniuk 2022

Redakcja: Joanna Kumaszevska

Projekt graficzny okładki: Justyna Nawrocka/Wydawnictwo Albatros Spółka z o.o.

Zdjęcia na okładce: Trevor Payne/Arcangel Images (*budynek*);
Szabo Viktor/Unsplash (*niebo*); Mila Tovar/Unsplash (*gałęzie*);
Mehdi Sepehri/Unsplash (*ptaki*); S-F/Shutterstock (*pomnik*)

Wydawca

Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.
Hłonda 2A/25, 02-972 Warszawa
wydawnictwoalbatros.com

Facebook.com/WydawnictwoAlbatros | Instagram.com/wydawnictwoalbatros



Prolog

*Szkoła Świętego Szczepana, Norfolk
Styczeń 2005*

Kiedy intruz wspinał się schodami na piętro, gdzie znajdował się labirynt jednoosobowych pokoi uczniów, które miały wielkość pudełka po butach, nie było słyszeć nic poza trzaskami i bulgotaniem dochodzącymi z przestarzałych kaloryferów, nieefektywnych żeliwnych strażników, od pięćdziesięciu lat z trudem ogrzewających Fleet House i jego mieszkańców.

Fleet House, jeden z ośmiu internatów należących do Szkoły Świętego Szczepana, wziął swoją nazwę od dyrektora z czasów jej założenia przed stu pięćdziesięciu laty. Nazywany przez obecnych mieszkańców „norą”, brzydki wiktoriański budynek z czerwonej cegły został przekształcony w internat tuż po wojnie.

Był ostatnim, który wymagał niezbędnego remontu. W ciągu sześciu miesięcy korytarze, schody, pokoje uczniów i pomieszczenia wspólne miały zostać ogołocone z wytartego czarnego linoleum; pożółkłe ściany zamierzano ponownie wytapetować i odświeżyć farbą w kolorze magnolii, a w archaicznych kabinach prysznicowych zainstalować lśniące nierdzewne armatury i ich ściany wyłożyć błyszczącymi białymi kafelkami. Wszystko to, żeby zadowolić wymagających rodziców, domagających się, by ich dzieci mieszkały i uczyły się

w komfortowych warunkach zbliżonych do hotelu, a nie rudery.

Przed pokojem numer siedem intruz zatrzymał się na chwilę i nasłuchiwał. Był piątek, więc ośmiu chłopców z tego piętra prawdopodobnie już dawno odnotowało swoje wyjście i wybrało się do pubu w pobliskim miasteczku Foltesham, ale nie zaszkodzi się upewnić. Nic nie słysząc, intruz przekręcił gałkę i wszedł do środka.

Zamknął cicho drzwi, zapalił światło i niemal natychmiast poczuł wyraźny, duszący zapach nastolatka: mieszankę brudnych skarpet, potu i szalejących hormonów, która na przestrzeni lat przeniknęła każdy zakamarek Fleet House.

Drżąc, bo zapach przywoływał bolesne wspomnienia, prawie potknął się o stertę bielizny rzuconej niedbale na podłogę. Sięgnął po dwie białe tabletki, co wieczór kładzione na szafce nocnej chłopca, i zastąpił je identycznymi, po czym odwrócił się, zgasił światło i wyszedł z pokoju.

*

Na klatce schodowej drobny chłopiec w piżamie zamarł, gdy usłyszał zbliżające się kroki. W panice zanurkował do wąskiej wnęki pod schodami na półpiętrze i zlał się z panującym tam mrokiem. Gdyby przyłapano go, że o dziesiątej wieczorem nie leży jeszcze w łóżku, zostałby ukarany, a tego już dzisiaj by nie zniósł.

Stojąc nieruchomo w ciemności, z walącym sercem i mocno zaciśniętymi oczami, jakby to miało w czymś pomóc, słuchał bez tchu, jak ktoś wspina się po schodach centymetry nad jego głową, a potem litościwie się oddala. Trzęsąc się z ulgi, chłopiec wymknął się z kryjówki i pobiegł korytarzem do swojego pokoju. Wskoczył do łóżka, zerknął na stojący przy nim budzik i wiedział, że minie jeszcze godzina, zanim będzie mógł pozwolić sobie na ucieczkę w sen. Naciągnął kołdrę na głowę i dał w końcu upust łzom.

*

Mniej więcej godzinę później Charlie Cavendish wszedł do pokoju numer siedem i rzucił się na łóżko.

Osiemnaście lat, jedenasta w piątkowy wieczór, a on gnije zamknięty jak dziecko w tej gównianej klatce na króliki.

A jutro musi wstać o siódmej na cholerną mszę. W tym semestrze opuścił już dwie i nie mógł sobie pozwolić na to znowu. Już i tak Jones wezwał go na dywanik z powodu tej głupiej sprawy z Millarem. Przebąkiwał coś o wydaleniu, jeśli Charlie się nie poprawi, więc chłopca wkurzało to, że musi się pilnować i unikać kłopotów. Ojciec jasno dał mu do zrozumienia, że nie sfinansuje mu roku przerwy, jeśli nie będzie miał przyzwoitych ocen na świadectwie.

Co byłoby cholerną katastrofą.

Ojciec nie pochwalał idei roku przerwy. Hedonizm był dla niego czymś strasznym i perspektywa, że syn wyleguje się na tajskiej plaży, prawdopodobnie naćpany, nie była tym, o czym marzył, zwłaszcza jeśli to on miał za to płacić.

Tuż przed rozpoczęciem semestru strasznie się pokłócili o przyszłość Charliego. William Cavendish był wziętym adwokatem w Londynie i zawsze zakładano, że syn pójdzie w jego ślady. W dzieciństwie Charlie nie zastanawiał się nad tym zbyt wiele. Jako nastolatek powoli zaczął rozumieć, czego od niego oczekiwano, i wiedział, że nikogo nie obchodzi jego pragnienia.

A Charlie był uzależnionym od adrenaliny ryzykantem, tak siebie postrzegał. Lubił żyć na krawędzi. Wizja wegetowania w zhierarchizowanej, dusznej atmosferze londyńskiego prawniczego świata przyprawiała go o ból brzucha.

Poza tym pojęcie sukcesu życiowego ojca było całkowicie przestarzałe. W dzisiejszych czasach wszystko wyglądało inaczej, można było robić, co się chce. Wszystkie te bzdury o szacunku należały do pokolenia jego rodziców.

Charlie chciał być didżejem i oglądać półnagie piękne

dziewczyny tańczące w klubach na Ibizie. Tak. Właśnie coś takiego mu odpowiadało! I... jako didżej można zarobić kupę szmalu.

Choć pieniądze nie powinny być kiedykolwiek poważnym problemem. Jeśli jego pięćdziesięciosiedmioletni wujek kawaler nie postanowi nagle płodzić dzieci, Charlie odziedziczy rodzinną posiadłość z tysiącami hektarów ziemi uprawnej.

Na to też miał plany. Wystarczyło tylko sprzedać deweloperowi kilka hektarów z pozwoleniem na budowę, a zbije fortunę!

Nie, nie chodziło o przyszłe finanse; chodziło o to, że ojciec skąpiradło sprawował nad nim fiskalną władzę.

A on był młody. Chciał się bawić.

Takie właśnie myśli krążyły po głowie Charliego Cavendisha, gdy bez zastanowienia sięgał po dwie tabletki, które brał co wieczór od piątego roku życia, i podnosił szklankę z wodą zostawioną mu przez opiekunkę.

Umieścił tabletki na języku, popił łykiem wody i odstawił szklankę na szafkę nocną.

Przez minutę nic się nie działo i chłopak, wzdychając, nadal dumiał nad niesprawiedliwością swojego losu. Po chwili jednak jego ciało zaczęło się prawie niedostrzegalnie trząść.

– Co do cholery...?!

Drżenie się nasilało, stawało się niekontrolowane i nagle Charlie poczuł, że zaciska mu się gardło. Spanikowany, nic nie rozumiejąc, dysząc i zataczając się, zdołał przejść kilka kroków dzielących go od drzwi. Chwycił za gałkę, lecz w narastającym przerażeniu nie udało mu się jej przekręcić. Półprzytomny upadł, z jedną ręką przy szyi i z pianą toczącą się z ust. Bez dopływu tlenu, na skutek krążących w ciele śmiertelnych toksyn jego organy stopniowo przestawały funkcjonować. Potem nastąpiło rozluźnienie zwieraczy i powoli młody człowiek, który kiedyś był Charliem Cavendishem, po prostu przestał istnieć.

Rozdział pierwszy

Robert Jones, dyrektor Szkoły Świętego Szczepana, stał z rękami w kieszeniach – nawyk, za który nieustannie karcił swoich podopiecznych – i wyglądał przez okno gabinetu.

W dole widział uczniów przecinających porośnięty trawą plac przed kaplicą w drodze na lekcje i z lekcji. Jego dłonie były wilgotne od potu, a serce łomotało od adrenaliny, co towarzyszyło mu ciągle od czasu wypadku.

Odszedł od okna i usiadł za biurkiem. Leżała na nim sterta dokumentów czekających na przejrzenie, a obok lista wiadomości telefonicznych, na które jeszcze nie odpowiedział.

Wyciągnął chusteczkę, wytarł czubek łysej głowy i westchnął ciężko.

Przed dyrektorem szkoły, mającym pod opieką setki nastoletnich chłopców i dziewcząt, może stanąć wiele potencjalnie koszmarnych problemów: narkotyki, dręczyciele, a w czasach szkół z internatem dla obojga płci – niemożliwy do powstrzymania upiór, jakim był seks.

W ciągu czternastu lat pełnienia funkcji dyrektora Robert miał do pewnego stopnia do czynienia z każdym z tych problemów.

Ale dotychczasowe kryzysy bladły w porównaniu z tym, co wydarzyło się w ostatni piątek. To był najgorszy koszmar dyrektora: śmierć ucznia pozostającego pod jego opieką.

Jeśli istniał sposób na doszczętne zniszczenie reputacji szkoły, to było to właśnie to. Szczegóły związane ze śmiercią chłopca prawie nie miały znaczenia. Robert już widział oczami wyobraźni, jak hordy rodziców poszukujących szkół z internatem skreślają Świętego Szczepana ze swoich list.

Niejakie pocieszenie znajdował w tym, że szkoła przetrwała ponad czterysta lat – a przeglądając akta, odkrył, że tego rodzaju tragedia zdarzyła się już wcześniej. Być może na krótką metę liczba uczniów się zmniejszy, ale z czasem to, co wydarzyło się w zeszły piątek, na pewno zostanie zapomniane.

Ostatnia śmierć ucznia miała miejsce w 1979 roku. Chłopiec został znaleziony martwy w składziku w piwnicy. Powiesił się na kawałku sznurka przywiązanego do haka na suficie. Incydent stał się częścią szkolnego folkloru; dzieciaki uwielbiały rozpowszechniać wyssaną z palca opowieść, że duch chłopca nawiedza Fleet House.

Młody Rory Millar sam wyglądał jak duch, gdy znaleziono go walącego w drzwi piwnicy internatu. Zamknięty na klucz, spędził w niej całą noc.

Charlie Cavendish, bez wątpienia winowajca, jak zwykle wszystkiemu zaprzeczył, a co gorsza, najwyraźniej uważał, że to było zabawne... Roberta przeszedł nieprzyjemny dreszcz, gdy próbując znaleźć w sobie siłę, by móc opłakiwać stratę młodego życia, stwierdził, że jej nie znajduje.

Na wczorajszym nadzwyczajnym zebraniu rady pedagogicznej zaproponował, że złoży rezygnację. Nauczyciele stanęli jednak po jego stronie.

Śmierć Cavendisha to był wypadek... nastąpiła z przyczyn naturalnych. Chłopak zmarł na skutek napadu epileptycznego.

Dla Roberta był to jedyny promyk nadziei. Jeśli tylko koroner wyda werdykt, że do śmierci doszło z przyczyn naturalnych, i da się jakoś ograniczyć doniesienia mediów, może uda się zminimalizować szkody.

Dopóki jednak to się nie potwierdzi, jego przyszłość i

reputacja wisiąły na włosku. Ktoś z biura koronera obiecał, że odezwą się dziś rano.

Zaterkotał telefon na biurku i Robert przełączył go na tryb głośnomówiący.

– Tak, Jenny?

– Biuro koronera do pana.

– Przełącz, proszę.

– Pan Jones?

– Tak, przy telefonie.

– Tu Malcolm Glenister, lokalny koroner. Chciałbym omówić wyniki wczorajszej sekcji zwłok Charliego Cavendisha.

Robert z trudem przełknął ślinę.

– Oczywiście. Proszę mówić.

– Patolog ustalił, że Charlie nie zmarł w wyniku napadu padaczkowego. Zgon wystąpił na skutek wstrząsu anafilaktycznego.

– Rozumiem. – Robert znowu przełknął ślinę, usiłując oczyścić gardło. – I... co było tego przyczyną?

– Jak zapewne pan wie, z dokumentacji medycznej denata wynika, że był uczulony na aspirynę. W krwiobiegu Charliego znaleziono sześćset miligramów tej substancji, co odpowiadałoby dwóm tabletkom dostępnym bez recepty.

Dyrektor nie mógł odpowiedzieć, miał zbyt wyschnięte gardło.

– Poza śladowymi ilościami leku epilim – ciągnął koroner – który Charlie codziennie zażywał, by kontrolować epilepsję, i minimalnymi alkoholu patolog nie znalazł nic więcej. Chłopak był całkowicie zdrowy.

Robert odzyskał wreszcie głos.

– Czy gdyby znaleziono go wcześniej, przeżyłby?

– Jeśli natychmiast otrzymałby leki, to tak, prawie na pewno. Leczą prawdopodobieństwo, że zdołałby wezwać pomoc podczas tych kilku minut przed utratą przytomności, było nikłe. To zrozumiałe, że nikt go nie znalazł aż do rana.

Dyrektor zamilkł na chwilę i po jego żyłach rozlała się cieniutka strużka ulgi.

– To co dalej? – zapytał w końcu.

– Cóż... wiemy, jak denat zmarł. Pytanie brzmi: dlaczego do tego doszło? Rodzice potwierdzili, że chłopiec wiedział o swoim uczuleniu na aspirynę.

– Musiał połknąć tabletki przez pomyłkę. Nie ma innego wytłumaczenia, prawda?

– Nie powinienem spekulować, nie znając wszystkich faktów, panie dyrektorze, ale kilka spraw wypadłoby wyjaśnić. I obawiam się, że policja rozpocznie śledztwo.

Robert poczuł, że z twarzy odpływa mu krew.

– Rozumiem – rzucił cicho. – Jak to wpłynie na codzienne funkcjonowanie szkoły?

– Będzie pan to musiał przedyskutować z osobą prowadzącą dochodzenie.

– Kiedy policja się tu zjawi?

– Pewnie szybko. Wkrótce się z panem skontaktują, żeby wszystko ustalić. A na razie do widzenia.

– Do widzenia.

Dyrektor wyłączył zestaw głośnomówiący. Czując, że jest bliski omdlenia, wziął kilka długich, głębokich oddechów.

Śledztwo policyjne... Pokręcił głową. To najgorsza wiadomość z możliwych.

I wtedy dotarło do niego, że przez ostatnie kilka dni myślał wyłącznie o reputacji szkoły. Jeśli w sprawę zaangażowano policję, to koroner musi mieć wątpliwości, czy chłopak wziął aspirynę przez pomyłkę.

– Jezu Chryste – szepnął. – Chyba nie sądzą, że to było morderstwo?

Potrząsnął głową. Nie, to prawdopodobnie jedynie formalność. Poza tym, jeśli się nad tym zastanowić, ojciec zmarłego chłopca miałby wystarczającą siłę przebicia, by nalegać na przeprowadzenie dochodzenia. Robertowi

przypomniały się te niezliczone razy, kiedy Charlie Cavendish stał przed jego biurkiem i patrzył na niego beznamiętnie, gdy on udzielał mu nagan. Zawsze przebiegało to tak samo: upominał chłopaka, że zabawa w wykorzystywanie młodszych kolegów jako służących skończyła się lata temu i nie wolno mu zmuszać nikogo do posłuszeństwa wbrew jego woli. Charlie przyjmował nagane, a potem zachowywał się tak jak wcześniej.

Miał iść do Eton, nie zdał jednak tamtejszych egzaminów wstępnych. I kiedy pojawił się w Świętym Szczepanie, niemal od pierwszego dnia jasno dawał do zrozumienia, że ma szkołę, jej dyrektora i kolegów za coś podrzędnego. Jego arogancja zapierała dech w piersiach.

Poszukując inspiracji, Robert utkwiał wzrok w portrecie lorda Grenville'a Dudleya, szesnastowiecznego założyciela szkoły, po czym spojrział na zegarek i uzmysłowił sobie, że zbliża się pora lunchu. Nacisnął przycisk interkomu.

– Tak, panie dyrektorze?

– Jenny, czy mogłabyś przyjść?

Kilka sekund później w drzwiach pojawiła się napawająca otuchą postać Jenny Colman. Jenny pracowała w szkole od trzydziestu lat, początkowo jako pomoc kuchenna, a następnie, po ukończeniu kursu sekretarskiego, jako asystentka administracyjna w dziale księgowym. Kiedy przed czternastu laty Robert został dyrektorem i dowiedział się, że sekretarka wkrótce ma przejść na emeryturę, wybrał Jenny na jej miejsce.

Nie była to najbardziej wyrafinowana kandydatka, ale jemu podobały się spokój i opanowanie Jenny, a jej znajomość szkoły okazała się nieoceniona, gdy na dobre osiadł na dyrektorskim stołku.

Wszyscy kochali Jenny, od woźnych po nauczycieli. Znała imię każdego dziecka, a jej lojalność wobec szkoły była bezdyskusyjna. Trzy lata od niego starsza, miała bliżej do emerytury niż on i Robert często się zastanawiał, jak sobie poradzi, gdy Jenny przestanie tu pracować. Teraz zdał sobie

sprawę, że prawdopodobnie odejdzie przed nią.

Z powodu operacji biodra przez cały miniony semestr Jenny pozostawała na urlopie. Jej zastępczyni była kompetentna i prawdopodobnie o wiele bardziej na czasie z technologią biurową, ale Robert tęsknił za matczynym usposobieniem Jenny i cieszył się, kiedy wróciła. Teraz, ściskając w gotowości notes i długopis, usadowiła pulchne ciało na krześle przed jego biurkiem i na jej twarz wypłynął wyraz głębokiej troski.

– Trochę pan błądy, panie dyrektorze. Podać panu szklanekę wody? – zapytała z norfolkskim zaśpiewem.

Roberta naszło nagłe pragnienie, by wtulić się w obfity biust kobiety. Chciał, aby otoczyła go matczynymi ramionami i pocieszyła. Otrząsnął się szybko.

– Rozmawiałem z koronerem. Nie mają dobrych wieści. Policja ma przeprowadzić śledztwo.

Jenny uniosła krzaczaste brwi.

– Och, nie, nie wierzę!

– Miejmy tylko nadzieję, że szybko się z tym uporają. Kręcący się tu policjanci będą wszystkim przeszkadzali i jeszcze bardziej destabilizowali sytuację.

– Święta racja – zgodziła się z nim Jenny. – Myśli pan, że wszystkich nas będą przesłuchiwali?

– Naprawdę nie mam pojęcia, na pewno jednak musimy wszystkich powiadomić. Podobno lada chwila ma zadzwonić do mnie ktoś z policji, więc po rozmowie będę wiedział więcej. Może dobrze by było na jutro rano zwołać apel w auli i poinformować wszystkich, co się wydarzy. Trzeba wezwać cały personel, od pomocy kuchennych w górę. Może to pani zorganizować?

– Oczywiście, panie dyrektorze. Zajmę się tym od razu.

– Dziękuję, Jenny.

Wstała, ale zanim wyszła, zapytała jeszcze:

– Kontaktował się pan z Davidem Millarem? Dziś rano dzwonił już trzy razy.

Ostatnią rzeczą, jakiej Robert w tej chwili potrzebował, był obłąkany rodzic alkoholik, panicznie zamartwiający się o syna.

– Nie, jeszcze z nim nie rozmawiałem.

– Hm... wczoraj wieczorem też dzwonił i zostawiał wiadomości... coś o tym, że kiedy Rory rozmawiał z nim przez telefon, był bardzo zdenerwowany.

– Wiem, mówiła już pani. Ale niestety, Millar będzie musiał poczekać. Teraz mam ważniejsze sprawy na głowie.

– Może zrobię panu herbaty? Wygląda pan, jakby potrzebował pan lekkiego podniesienia poziomu cukru. To świetnie pomaga na stres.

– Dziękuję, byłoby miło – zgodził się z wdzięcznością.

Znowu rozdzwonił się telefon. Jenny dotarła do niego pierwsza i podniosła słuchawkę.

– Gabinet dyrektora.

Słuchała przez chwilę, po czym osłoniła ją dłonią i szepnęła:

– To nadkomisarz Norton. Chce z panem rozmawiać.

– Dzięki. – Robert przejął słuchawkę i zaczekał, aż Jenny wyjdzie. – Dyrektor szkoły przy telefonie.

– Dzień dobry, panie dyrektorze. Nadkomisarz Norton z wydziału dochodzeniowo-śledczego. Zakładam, że wie pan, dlaczego dzwonię.

– Owszem.

– Pomyślałem, że powinienem pana uprzedzić, że wysłałam do pana kilku śledczych do zbadania sprawy śmierci Charliego Cavendisha.

– A, tak, oczywiście, tak. – Robert nie wiedział, co jeszcze mógłby powiedzieć.

– Przyjadą jutro rano.

– Skąd?

– Z Londynu.

– Z Londynu?

– Tak. Sprawa została przekazana do nas, do jednostki specjalnej wydziału. Będziemy współpracować z waszą lokalną

policją.

– Rozumiem, że musicie wykonywać swoją pracę, panie nadkomisarzu, ale niepokoję się o utrudnienia w szkole, nie wspominając o panice.

– Moi koledzy mają doświadczenie w prowadzeniu takich spraw jak ta, panie dyrektorze. Jestem pewien, że potraktują sytuację z wyczuciem i doradzą panu, jak postępować z personelem i z uczniami.

– Tak. Właściwie i tak miałem zamiar zwołać na jutro zebranie całej szkoły.

– To doskonały pomysł. Mój zespół będzie miał okazję przedstawić się i poinformować o śledztwie, co być może zmniejszy niepokój związany z naszą obecnością.

– Zwołam je więc.

– Świetnie.

– Czy może mi pan podać nazwiska śledczych, których zamierza pan do nas przysłać?

Na chwilę zapadła cisza, zanim nadkomisarz odpowiedział:

– Jeszcze nie jestem pewien, kogo wyślę. Ale oddzwonię do pana do końca dnia i wszystko potwierdzę. Dziękuję za poświęcony czas.

– Dziękuję, panie nadkomisarzu. Do usłyszenia.

Dziękuję za co? – zadał sobie pytanie Robert, gdy odłożył słuchawkę. Schował głowę w dłoniach i jęknął.

Policja będzie badała przeszłość każdego pracownika... życie prywatne... Nie wiadomo, do czego się dokopie. On sam może stać się podejrzanym... A liczba przyjmowanych uczniów od trzech lat spadała – była taka duża konkurencja. Dochodzenie to ostatnia rzecz, jakiej szkoła potrzebowała. I jakiej sam potrzebował, pomyślał egoistycznie, sięgając po słuchawkę, by zadzwonić do przewodniczącego rady szkolnej.

Rozdział drugi

Jasmine Hunter-Coughlin – Jazz dla przyjaciół, komisarz Hunter dla kolegów z pracy – rozsunęła zasłony i wyjrzała przez okno swojej małej sypialni. Niewiele było widać, skraplająca się na szybie para zamazywała panoramę mokradeł Salthouse i szarego Morza Północnego za nimi. Jazz automatycznie nakreśliła swoje inicjały, tak jak to robiła w dzieciństwie, przez chwilę przyglądała się literkom, po czym zdecydowanym ruchem wymazała końcowe C.

Zerknęła na kartonowe pudła zawalające podłogę sypialni. Wprowadziła się trzy dni temu, ale poza odnalezieniem niezbędnych rzeczy, jak piżama, czajnik czy mydło, resztę pozostawiła nietkniętą.

Malutki domek był przeciwieństwem minimalistycznego mieszkania w londyńskim Docklands, które dzieliła z byłym mężem. I właśnie to podobało jej się w tym domu. Niechęć zazwyczaj patologicznie utrzymującej porządek Jazz do rozpakowania się wynikała z tego, że w najbliższych tygodniach domek miał przejść gruntowny remont. Hydraulik będzie za tydzień, stolarz wpadnie jutro, by wziąć wymiary na szafki w kuchni, a poza tym zostawiła wiadomości kilku miejscowym dekoratorom.

Miała nadzieję, że za kilka miesięcy Marsh Cottage będzie

wyglądał tak malowniczo wewnątrz, jak zapowiadał to jego wygląd na zewnątrz.

Tego dnia na dworze było pogodniej, postanowiła więc wybrać się na poranny spacer przez mokradła w stronę morza. Włożyła buty i kurtkę, otworzyła drzwi i po wyjściu przed dom zaciągnęła się orzeźwiającym morskim powietrzem.

Jej domek stał przy nadbrzeżnej drodze oddzielającej wioskę od mokradeł i morza. Latem panował na niej duży ruch, bo turyści jeździli wtedy na plażę i do nadmorskich osad North Norfolk, ale dziś, pod koniec stycznia, droga była opustoszała.

Jazz omiotła wzrokiem najbliższe otoczenie i poczuła radość. Z powodu braku drzew i płaskiego terenu okolica wydawała się ponura i nieprzyjemna, ale ona uwielbiała taką prostotę. W tym krajobrazie nie było nic ładnego, nic, co mogłoby złamać surowość horyzontu rozciągającego się na blisko dwa kilometry w każdą stronę. Czysta linia lądu w oddali, na granicy z morzem, i ogrom niczym niezakłóconej przestrzeni przemawiały do niecierpiącej pretensjonalności Jazz.

Gdy przechodziła przez drogę, kątem oka dostrzegła, że z budynku poczty jakieś pięćdziesiąt metrów przed nią wychodzi mężczyzna. Weszła na szorstką podmokłą trawę. Stawiając kroki, skupiała się na kojącym chlupocie wody pod stopami i nagle wydało jej się, że ktoś ją woła.

Zignorowała odgłos, bo uznała, że to skrzeczenie kuropatw stojących w kręgu na prawo od niej, i kontynuowała wspinaczkę w górę wzniesienia, jedynej ochrony jej domku przed falami morza, które okazały się problematyczne przy załatwianiu ubezpieczenia niezbędnego do kredytu hipotecznego.

– Jazmine! Komisarz Hunter! Halo, zaczekaj!

Tym razem nie było mowy o pomyłce. Zatrzymała się, odwróciła i spojrzała na drogę.

Chryste! Co on tu robi, do diabła? Zbulwersowana, zaczęła się cofać w stronę domu. Po kilku metrach zatrzymała się i

posłała przybyszowi chłodny uśmiech.

– Witam, komisarz Hunter.

– Co pan tu robi, panie nadkomisarzu?

– Mnie też miło cię widzieć – rzucił Norton, wyciągając do niej rękę.

– Przepraszam. – Westchnęła, podeszła i uściśniła jego dłoń. – Nie spodziewałam się tu pana, to wszystko.

– Nic się nie stało. Zaprosisz mnie do domu, zanim zamarnę na śmierć w tym cienkim garniturze?

– Tak, oczywiście.

Kiedy znaleźli się w środku, zaproponowała, by Norton usiadł na kanapie, i rozpałała ogień w kominku. Zrobiła kawę, po czym przysiadła na brzegu drewnianego krzesła.

– Miły domek – pochwalił Norton. – Przytulny.

– Dziękuję. Lubię go.

Zaległa niezręczna cisza.

– No więc jak się miewasz, Jazmine?

Dziwnie było słyszeć, jak Norton zwraca się do niej po imieniu. Podkreślało to, jak dalece jej życie zmieniło się w ciągu ostatnich miesięcy, ale też sprawiało wrażenie protekcjonalności.

– Całkiem nieźle – odparła.

– Wyglądasz... lepiej. Nabrałaś trochę więcej koloru od czasu, gdy widziałem cię ostatnio.

– Tak, we Włoszech jest ciepło, nawet zimą. – Kolejna chwila ciszy, podczas której Jazz pomyślała, że wolałaby, żeby nadkomisarz przeszedł do rzeczy. – Skąd pan wiedział, że tu jestem? – zapytała w końcu, niegotowa na to, by sama zainicjować właściwą rozmowę. – Wprowadziłam się dopiero trzy dni temu.

Roześmiał się.

– Jestem zaskoczony, że musisz o to pytać po pracy w Scotland Yardzie, chociaż nawet nasz komputer wypuścił jedynie adres Salthouse Road dwadzieścia dziewięć. Kiedy tu dotarłem

i nie mogłem znaleźć numerów na drzwiach, zapytałem na poczcie.

– Ach – mruknęła.

– Dlaczego tutaj? – zapytał.

– Wakacje z dzieciństwa, jak sądzę. Zawsze uwielbiałam Norfolk i wydawało mi się, że to tak samo dobre miejsce jak każde inne. Poza tym rodzice mieszkają blisko.

– A, tak, rozumiem.

Znowu milczenie.

– Więc... – odezwał się w końcu Norton, nagle rzeczowym tonem, jakby wyczuwał zniecierpliwienie gospodyni. – Chcesz wiedzieć, dlaczego pokonałem ponad sto kilometrów, żeby zobaczyć się z tobą z samego rana w mroźny styczniowy dzień? Próbowałem dodzwonić się na twoją komórkę, ale najwyraźniej z niej zrezygnowałaś.

– Zostałam ją w kraju, kiedy wyjeżdżałam do Włoch. A gdy wróciłam, uznałam, że tak naprawdę wcale jej nie potrzebuję.

Skinął głową.

– Pewnie w North Norfolk do niczego się nie przydaje. Moja straciła zasięg zaraz po tym, jak wyjechałem z Norwich. Tak czy inaczej, zjawiłem się tu... bo chcę, żebyś wróciła do pracy.

Jazz chwilę milczała.

– Myślałam, że dość jasno się w tej kwestii określiłam – odpowiedziała cicho.

– To prawda. Ale to było siedem miesięcy temu. Byłaś na urlopie, rozwiodłaś się, znalazłaś nowe miejsce do życia...

– ...którego nie mam zamiaru porzucić po to, by wrócić do Londynu – weszła Nortonowi ostro w słowo.

– Jestem pewien, że nie – rzucił niezrażony.

– Zresztą jak mogłabym wrócić? I skąd w ogóle pomysł, że bym tego chciała?

– Jazmine, gdybyś na chwilę odpuściła sobie ten

defensywny ton i mnie wysłuchiwała. – W głosie Nortona pojawiła się twardsza nuta.

– Przepraszam, szefie – burknęła. – Ale chyba rozumie pan, że nie mam większej ochoty wracać do przeszłości. – Zdawała sobie sprawę, że mówi wrogim tonem, lecz nie mogła nic na to poradzić.

– Tak, właśnie widzę... – Spojrzał na nią. – Chciałbym jednak wiedzieć, dlaczego jesteś zła na mnie? Przecież to nie ja cię zdradziłem.

– A to już cios poniżej pasa, szefie.

– Cóż... – mruknął, oglądając swoje nieskazitelnie wypielęgnowane paznokcie. – Chyba że odniosłaś wrażenie, że to zrobiłem?

– Przyjmuję do wiadomości, że nie mógł szef nic poradzić na sytuację z moim mężem. Zresztą i tak już wtedy nie miałam złudzeń i...

– ...i to była ta przysłowiowa kropla, która przelała czarę goryczy. – Norton napił się kawy i spojrzał na nią. – Jazmine, wiesz, ile kosztuje rekrutacja i wyszkolenie śledczego?

– Nie mam pojęcia.

– A gdybym ci powiedział, że za przybliżoną kwotę kupiłabyś sobie kolejny taki domek?

– Próbuje pan wzbudzić we mnie poczucie winy?

– Jeśli to miałoby zadziałać, to owszem. – Norton zdobył się na lekki uśmiech. – Nawet nie dałaś mi szansy na porozmawianie z tobą. W jednym tygodniu siedziałas przy biurku, w następnym wyjechałaś do Włoch.

– Nie miałam wyboru.

– Ty tak uważasz. Sądziłem, że ze względu na nasze dobre stosunki w pracy będziesz czuła, że możesz do mnie przyjść i ze mną pogadać. Jeśli uzgodnilibyśmy, że twoja rezygnacja to jedyne wyjście, nie stawałbym ci na drodze. Tymczasem ty zwyczajnie... uciekłaś, bez uprzedzenia, bez słowa wyjaśnienia!

Jazz pozostała niewzruszona.

– Och. A więc to dlatego pan tu jest, tak? Żebym się wytłumaczyła?

Norton westchnął z frustracją.

– Daj spokój. Staram się, jak mogę, a ty zachowujesz się jak rozwyrzona nastolatka. Sytuacja wygląda tak, że oficjalnie rzecz biorąc, nadal jesteś u nas zatrudniona. – Z wewnętrznej kieszeni wyciągnął kopertę i popchnął ją w jej stronę.

– Co to jest? – zapytała, unosząc brwi. W środku znajdowały się odcinki wypłat, korespondencja dotycząca konta, które dzieliła z Patrickiem, miesięczne wyciągi, nadal wysyłane na jej poprzedni adres zamieszkania. Był tam też list z rezygnacją, który w pośpiechu nabazgrała na lotnisku i wysłała, zanim wsiadła do samolotu lecącego do Pizy.

– Nie było to zbyt... profesjonalne odejście, nie uważasz?

– Nie, chyba nie, choć nie sądzę, żeby miało to teraz jakieś znaczenie. – Jazz włożyła list z powrotem do koperty i oddała ją Nortonowi. – Proszę bardzo, szefie. Wręczam to panu oficjalnie. Rezygnuję z pracy. Czy to wystarczy?

– Tak, jeśli tego właśnie chcesz. Słuchaj, Jazmine, rozumiem... Wiem, że czułaś się zawiedziona i upokorzona, a twoje życie osobiste legło w gruzach. Prawdopodobnie potrzebowałaś trochę czasu, żeby wszystko przemyśleć...

– Tak, chodziło dokładnie o to! – wykrzyknęła ostro.

– A ponieważ byłaś zła i rozgoryczona, działałaś instynktownie, a instynkt kazał ci uciekać. Byłaś jednak przez niego zaślepiona. Nie widzisz tego?

Nie odpowiedziała.

– A skoro byłaś zaślepiona – ciągnął Norton – podjęłaś pochopną decyzję, która oprócz zrujnowania twojej obiecującej kariery, przyczyniła się do tego, że straciłem jednego z najlepszych śledczych. Słuchaj... – Uśmiechnął się łagodnie. – Nie jestem idiotą. Widziałem, co się dzieje. Odkrycie prawdy o mężu, zwłaszcza jeśli dowiedziałaś się o wszystkim właściwie jako ostatnia, musiało być dla ciebie czymś okropnym.

Cisza.

Norton westchnął.

– Wszystko sprowadza się do jednego: związki w pracy są niebezpieczne, zwłaszcza w takiej profesji jak nasza. Mówiłem to nadkomisarzowi Coughlinowi, gdy poinformował mnie, że chcecie się pobrać.

Jazz spojrzała w górę.

– Poważnie? Bo Patrick mówił, że dał nam pan swoje błogosławieństwo.

– Właściwie to zasugerowałem, by jedno z was przeniosło się do innego wydziału, żebyście przynajmniej nie potykały się o siebie. Ale błagał, bym pozwolił wam zostać. Więc żeby nie stracić obojga, postanowiłem spróbować, dodam, że wbrew sobie.

– Hm... szefie, powiedział pan „nadkomisarz”?

– Tak. Twój były mąż został niedawno awansowany.

– Niech się pan nie trudzi i nie przekazuje mu moich gratulacji.

– Zapewniam, że nie zamierzam.

Jazz spojrzała na swojego rozmówcę i przemknęło jej przez myśl, że Norton w garniturze z Savile Row i z nogami tak długimi, że siedząc na niskiej kanapie, miał kolana prawie na wysokości piersi, wygląda bardzo nie na miejscu.

– Wiedział pan... o Patricku i... o niej?

– Słyszałem plotki, ale nie mogłem się wtrącać. Jeśli cię to pocieszy, kilka tygodni po twoim odejściu złożyła wniosek o przeniesienie do komisariatu w Paddington Green. Wiedziała, że nie może liczyć na rywalizację z tobą. Cały zespół w odwecie zaczął ją traktować jak powietrze. Byłaś bardzo lubiana, wiesz o tym? Wszyscy za tobą tęsknią.

Norton uśmiechnął się szeroko, odsłaniając mocne, białe zęby. Jazz nie mogła oprzeć się myśli, że przy jego gęstych, siwiejących na skroniach czarnych włosach i okularach do czytania osadzonych na końcu orlego nosa starzenie się tylko

dodawało mu powagi.

– Cóż, miło o tym wiedzieć. W każdym razie to, co Patrick i jego pupilka posterunkowa robią teraz, jest już ich sprawą. Mnie to nie interesuje. Ale uwaga – dodała kpiąco. – Lepiej niech ją pan ostrzeże, że jeśli tylko Patrickowi przyjdzie do głowy, że ona jest dla niego konkurencją, zaliczy nóż w plecy.

– Bez wątpienia. Twój były to utalentowany śledczy, ale jest szalenie ambitny. Nie mógł sobie poradzić z tym, że żona może być lepszym detektywem niż on. Wiedziałem, co kombinuje, podkopując cię, cały czas umniejszając twoje osiągnięcia, ale ponieważ nigdy nie przysłaś z tym do mnie, nie mogłem z tym nic zrobić.

– Byłam w sytuacji bez wyjścia. Chodziło o mojego męża.

– Rozumiem. Tak czy inaczej, jeśli Coughlinowi uda się zapanować nad tym, co ma w spodniach, to według mnie w końcu zdobędzie to, na czym mu zależy.

– Może sobie pieprzyć nawet cały wydział, jeśli chce. Naprawdę mało mnie to już obchodzi.

– I takie podejście mi się podoba – rzucił wesoło Norton.
– No więc jak? Na pewno jesteś przekonana, że chcesz, żebym przyjął ten list z powrotem? Bo to będzie oficjalne, wiesz? – Pomachał kopertą.

– Tak, jestem.

– No dobrze, komisarz Hunter – powiedział już poważnym tonem. – Miałem możliwość omówienia z tobą sytuacji i dałaś mi jasno do zrozumienia, że jesteś zdecydowana odejść ze służby. Wezmę ten list, wrócę do Londynu z podkulonym ogonem i nie wspomnę o innych opcjach, jakie brałem pod uwagę.

Wyobrażenie Nortona z podkulonym ogonem sprawiło, że Jazz się uśmiechnęła. Uniosła brwi i westchnęła.

– Proszę mówić, w końcu to właśnie po to pokonał pan taki szmat drogi.

– Wierz lub nie, ale istnieją inne wydziały śledcze.

Mógłbym zasugerować, żebyś przeniosła się do jednego z nich.

– Może w Paddington Green, co? Miałabym okazję ucinać sobie pogaduszki z kochanką mojego byłego.

– Zignoruję tę dziecinną uwagę. Ale to dość zgrabnie prowadzi mnie do sedna sprawy. Pytanie brzmi: czy zrezygnowałaś z powodu sytuacji z Patrickiem, czy też dlatego, że nie chciałaś już dłużej pracować w policji?

– Jedno i drugie – odparła szczerze.

– W porządku, pozwól mi ująć to inaczej: masz trzydzieści cztery lata, jesteś wysoko wyszkolonym oficerem i mieszkasz w Norfolk jak stara panna. Co, u licha, zamierzasz ze sobą zrobić?

– Będę malowała.

Norton uniósł brwi.

– Malowała? Rozumiem. Co i jak profesjonalnie?

– Bóg jeden wie. Po ukończeniu Cambridge zamierzałam rozpocząć studia w Akademii Sztuk Pięknych. Zdałam nawet egzaminy. No ale wstąpiłam do policji.

– Naprawdę? – Norton wyglądał na zaskoczonego. – Być może właśnie dlatego masz oko do szczegółów.

– Może, ale tak czy inaczej zamierzam malować. Chcę przerobić budynek gospodarczy na pracownię. Ze sprzedaży naszego starego mieszkania zostało mi tyle, że jakiś czas przetrwam. Dodatkowo mam na oku kurs w przyszłym roku na Uniwersytecie Wschodniej Anglii.

– Przyznaję, że to niezłe miejsce na odkrywanie na nowo swojej kreatywności – zgodził się Norton.

– Celnie powiedziane z tym odkrywaniem na nowo – powiedziała z pasją Jazz. – Praca w policji kompletnie mną zawładnęła. Straciłam z oczu osobę, którą kiedyś byłam.

– Hm... – Norton skinął głową. – Rozumiem to, ale odnoszę wrażenie, że już ją znowu odnalazłaś. Wygląda na to, że odzyskałaś ducha walki.

– To prawda.

– Posłuchaj... – Westchnął, znów poważny. – Jak długo

jeszcze zamierzasz uciekać? Bo moim zdaniem to nie policja cię zdołowała, tylko człowiek, który na każdym kroku starał się podkopywać twoją pewność siebie. Obserwowałem cię, Jazmine. Rozkwitasz na adrenalinie. Jesteś wybitną śledczą. I nie tylko ja tak uważam.

– To... miłe z pana strony, szefie.

– Mówię to na podstawie faktów, a nie z życzliwości. Po prostu boli mnie, kiedy widzę, jak ktoś o twoich umiejętnościach poddaje się tylko dlatego, że nie wyszło mu w małżeństwie. Widziałem, jak przez lata dzień w dzień walczyłaś z męskim szowinizmem. Naprawdę chcesz dać Patrickowi wygrać?

Jazz milczała i intensywnie wpatrywała się w dywan pod swoimi stopami.

– No dobra, przejdźmy do sedna – rzucił w końcu Norton. – Coś się pojawiło. Co ty na to, gdybym powiedział, że prowadzimy dochodzenie tylko kilkanaście kilometrów stąd?

– Śledztwo w Norfolk? Coś takiego jest w ogóle możliwe?

– Doszło do wypadku w miejscowej szkole, tuż za Foltesham. W zeszłą sobotę znaleziono tam martwego ucznia w jego pokoju w internacie. Zwrócono się z tym do mnie, bo chodzi o syna jakiegoś prawnika, któremu właśnie udało się doprowadzić do ekstradycji kilku ważniejszych terrorystów do Wielkiej Brytanii. Zostałem poproszony o wysłanie kilku ludzi i sprawdzenie, czy nie doszło tam do przestępstwa.

– Przez ojca tego chłopaka?

– Właściwie to dzwonił komendant główny. Jak wiesz, zwykle Policja Metropolitalna nie angażuje się w takie sprawy, ale...

– ...nie ma to jak mieć znajomych na wysokich stanowiskach – dokończyła Jazz z uśmiechem.

– Mniej więcej.

– Więc jak ten chłopak umarł?

– Był epileptykiem. Ratownicy medyczni, którzy przybyli na miejsce zdarzenia, stwierdzili, że ciało nosi wszelkie

znamiona ataku. Ale ojciec chłopaka słusznie nalegał na przeprowadzenie sekcji. Dziś rano skontaktował się ze mną koroner i wygląda na to, że może być w tym coś więcej, niż się wydaje.

– Na przykład co?

– Nie wolno mi zdradzić szczegółów, dopóki nie powiesz mi, czy jesteś zainteresowana, czy nie.

Oboje wiedzieli, że jest.

– Może... jeśli zdążę wrócić do domu na czas, by namalować następną Mona Lisę – odparła.

– I przyślę ci do pomocy detektywa sierżanta Milesa. – Oczy Nortona rozbłyły wesołością.

– Niech mi pan da dzień do namysłu, dobrze, szefie?

– Niestety, nie ma na to czasu. Potrzebuję cię do tej sprawy od zaraz. Masz umówione spotkanie z matką chłopaka o drugiej po południu. Mieszka dobre półtorej godziny drogi stąd. To oznacza... – Norton spojrział na zegarek – że została ci mniej więcej godzina na podjęcie decyzji. Jeśli odmówisz, będę musiał wysłać tam kogoś innego. A tu są akta.

Podał jej grubą brązową kopertę.

Jazz popatrzyła na niego bezradnie.

– Godzina?

– Tak, detektyw komisarz Hunter. Wygląda na to, że będziesz musiała podjąć kolejną ze swoich słynnych impulsywnych decyzji. Patrząc jednak na twoją historię zawodową, powiedziałbym, że nigdy ci nie zaszkodziły... poza decyzją o odejściu, oczywiście. – Znowu spojrział na zegarek. – Muszę się już zbierać. Obiecałem, że wrócę do miasta na spotkanie o drugiej, a te wiejskie drogi są koszmarnie.

Wstał i czubkiem głowy otarł się o sufit.

– Jeśli odmówię, co mam z tym zrobić? – zapytała, wskazując na akta.

– Spał w tym swoim dość żalonym kominku. Moim zdaniem przydałaby ci się do niego porządniejsza rozpałka.

No dobrze, to lecę. – Norton uściśnął jej dłoń. – Dzięki za kawę. – Podeszedł do drzwi i odwrócił się. – Nie przyjechałbym aż do Norfolk dla byle kogo, detektyw komisarz Hunter. I ostrzegam: ponownie nie padnę na kolana. Skontaktuj się ze mną do południa. Do widzenia.

– Do widzenia, szefie. I dzięki...

Zainteresowani tym, co będzie dalej?

Pełna wersja książki do kupienia m.in. w księgarniach:

- KSIĘGARNIE ŚWIAT KSIĄŻKI
- EMPIK

Oraz w księgarniach internetowych:

- swiatksiazki.pl
- empik.com
- bonito.pl
- taniaksiążka.pl

Zamów z dostawą do domu lub do paczkomatu – wybierz taką opcję, jaka jest dla Ciebie najwygodniejsza!

Większość naszych książek dostępna jest również **w formie e-booków**.
Znajdziecie je na najpopularniejszych platformach sprzedaży:

- [Virtualo](#)
- [Publio](#)
- [Nexto](#)

Oraz w księgarniach internetowych.

Posłuchajcie również naszych **audiobooków**, zawsze czytanych przez najlepszych polskich lektorów.

Szukajcie ich na portalu [Audioteka](#) lub pozostałych, wyżej wymienionych platformach.

Zapraszamy do księgarni i na stronę wydawnictwoalbatros.com, gdzie prezentujemy wszystkie wydane tytuły i zapowiedzi.

Jeśli chcecie być na bieżąco z naszymi nowościami, śledźcie nas też na [Facebooku](#) i na [Instagramie](#).